

M A G D A K N E D L E R

# NARZECZONE CHOPINA

MANDO 

© Wydawnictwo WAM, 2021

© Magdalena Knedler, 2021

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Maria Armatowa, Katarzyna Onderka

Grafika na okładce: Beata Śliwińska „Barrakuz”

Opracowanie okładki: Anna Pochopień / Studio INIGO

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2822-7

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

[www.wydawnictwomando.pl](http://www.wydawnictwomando.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwomando.pl](mailto:handel@wydawnictwomando.pl)

Druk i oprawa: COLONEL • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze Extra cream 70 g vol. 2.0

*Nie mam dla Ciebie miłości,  
Ktoś tu był przed Tobą.*  
Skubas



## Warszawa, 1889



Krzysztof widział wyraźnie, że redaktor nie czuje się dobrze w jego mieszkaniu. Nie chciał nawet usiąść, a przecież fotel był prawie nowy, stał u świętej pamięci Zarzecznego ledwie trzy miesiące. I zarządca kamienicy przysięgał na ruskie ikony, że Zarzeczny wcale w nim ducha nie wyzionął, a gruba Zuzka tylko tak sobie gada, bo pogadać lubi. Zresztą gdyby nawet wyzionął – to co? Zarzeczny stary był, od dawna na ciele słabował i całkiem naturalnie mu się zeszło. Nikt go nie zadźgał przecież, więc fotel czysty, bez plam. Dlaczego nie usiąść?

Redaktor strącił z feralnego mebla niewidoczny pyłek, walczył ze sobą przez chwilę, już się nawet zadem odpowiednio ustawił, ale ostatecznie zrezygnował i podszedł do okna.

– Doprawdy, Krzysiu? Zakroczymska? – zapytał, nie odwracając się.

– W „Kurierze” się rubelków na miliony nie zarabiało, to i oszczędności niewielkie.

– Chcesz powiedzieć, że żadne. Zwłaszcza jeśli się żyło po twojemu.

- Może i tak.
- Co zamierzasz?

Krzysztof wzruszył ramionami. Od dawna nikt go nie pytał, co zamierzał. Jednych to nie interesowało, inni się poddali. I tak było dobrze. Mógł mieszkać, gdzie chciał, przyjmować, kogo chciał, chadzać, dokąd chciał, mówić, co chciał. A nawet pisać mógł. Nikt by tego nigdzie nie przeczytał, ale owszem, mógł. I miał też świadomość, że to wszystko dało się jeszcze odwrócić, że nic nie było przesądzone. Mógł więc jeszcze coś zrobić. Wrócić. Teraz właśnie nadarzała się ku temu okazja, a Krzysztof z każdą minutą nabierał pewności, że w ogóle z niej nie skorzysta. Sięgnął po fajkę. Musiał oszczędzać tytoń, bo i na to kończyły mu się fundusze, a wybór między nałogiem a potrzebą przyjmowania pokarmu nie był żadnym wyborem. Wolał więc i mniej jeść, i mniej palić. Na zaś, żeby się przyzwyczaić zawczasu do ograniczania zasobów. W tej chwili jednak sytuacja była wyjątkowa i Krzysztof zaczął się denerwować.

- Mógłbyś się stąd wynieść – odezwał się znowu redaktor.
- Dobrze mi tu.
- No to przynajmniej mógłbyś kupić sobie więcej świec i zapłacić jakiejś dobrej dziewczusze, żeby ci raz na tydzień porządnie posprzątała.
- Przychodzi gruba Zuzka.
- Od samego przychodzenia porządek się, jak widać, nie robi.

– Chcesz ode mnie czegoś konkretnego?

Krzysztof wypuścił z ust kłąb dymu i milczał. Redaktor odwrócił się od okna, westchnął ciężko i wreszcie – z pewnym wahaniem, ale jednak – opadł na fotel umarlaka Zarzecznego. Przez chwilę mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Redaktor zamierzał wreszcie coś powiedzieć, a Krzysztof wcale nie miał ochoty tego słuchać. Wolał zostać sam ze swoją fajką, odgłosami zza ściany i widokiem Warszawy, nad którą dawno zaszło słońce. Gdyby o tym pisał w intymnym dzienniku, dodałby, że „zaszło jak nad jego życiem”, ale w tej sytuacji tylko ponuro się uśmiechnął.

– Słyszałem, że byłeś w Babsku. Na cmentarzu – odezwał się redaktor.

– Wystąłeś za mną szpicla?

– Prowadzę gazetę, wszędzie znajdę ludzi, którzy będą mi gotowi sprzedać informacje. Babsk nie jest znowu tak daleko.

– Dlaczego cię interesuje moje łązenie po cmentarzach? Co ja jestem? Helena Modrzejewska?

– Na Helenę to ty masz mordę za brzydką.

– Gruba Zuzka mówi, że śliczną i gładką jak u niemowlaka.

– Chyba dla ślepego.

Po swoich słowach o niemowlęciu Krzysztof zaczął się już uśmiechać, ale po odpowiedzi redaktora zacisnął zęby. Tamten też się spłoszył i przez chwilę znowu nic nie mówił. To był najlepszy i jedyny sposób, by okazać skruchę.

Redaktor wiedział, że Krzysztof nie cierpi czułych słów i wylewnych przeprosin. Znał go też na tyle dobrze, by mieć pewność, że zabolalo go to ostatnie zdanie. Nie chciał być złośliwy, a jeśli w ogóle zamierzał wspomnieć o przeszłości, to tylko tak, by najdrażliwsze rzeczy obejść łukiem. Lubił Krzysztofa i był ostatnią osobą na świecie, która kazałaby mu przeżywać swoje cierpienie na nowo. Bo to by przecież nic nie dało. Owszem, trafiali się tacy, którzy uwielbiali ogłaszać światu swoje żale i upubliczniać nieszczęścia. Zapewne dzięki złudnemu wrażeniu, że nie niosą już ciężaru sami, szybciej stawali na nogi i zaczynali od nowa. Z Krzysztofem tak nie było. Krzysztof milczał. Krzysztof kierował wszystko do środka. Może to błąd go prosić, by wrócił. Redaktor był jednak, *de facto*, również ostatnią osobą na świecie, która miała ochotę tutaj przyjść, wyciągnąć Krzysztofa z Zakroczymskiej i dać mu jeszcze jedną zawodową szansę. Inni nie mieli takiej ochoty. Inni wciąż przypominali redaktorowi dzień, w którym pijany Krzysztof wkroczył do redakcji „Kuriera” i zwymiotował na przygotowaną do druku *Kronikę tygodniową* Prusa. Wcześniej również niedobrze się działo. Spóźniał się z oddawaniem tekstów, awanturował, kiedy wracały od cenzora, nie stosował się do służbowych poleceń i wszystkim pyskował. Owszem, bywało z nim różnie, ale po incydencie z *Kroniką*...

Krzysztof wstał z krzesła i podszedł do pieca wciśniętego w róg pomieszczenia, które miało chyba grać rolę kuchni połączonej z jadalnią.



– Napijesz się kawy?

Redaktor miał ochotę zapytać, czy Krzysztof coś widzi w tych ciemnościach, lecz ugryzł się w język i postanowił w ogóle już nie wspominać o ciemności. Tamten jednak wyczuł sytuację i sam zaczął temat.

– Julia mnie nauczyła, jak to robić. Nie zmuszała, sam chciałem. To był jeden ze sposobów, aby być bliżej niej, lepiej ją zrozumieć. Ja opisywałem jej świat, tak jak go widziałem. Tłumaczyłem jej, co to są kolory, jakie wrażenie na mnie robią. Ona je zawsze porównywała do muzyki. Rozumiała muzykę, w przeciwieństwie do mnie. Tak więc, owszem, widzę coś w tej ciemności i nie muszę palić drugiej świecy, by zagotować kawę.

Redaktor pominął tę wypowiedź milczeniem. Począł na kawę, a później upił łyk i mimowolnie się uśmiechnął. Biedny czy nie, Krzysztof potrafił przyrządzić doskonałą kawę. Przez chwilę delektowali się nią w ciszy. Wreszcie powtórnie padło pytanie:

– Chcesz ode mnie czegoś konkretnego?

Krzysztof wiedział, jak wygląda, i zdawał sobie sprawę, że w świetle świecy jego wychudzona twarz musi sprawiać jeszcze upiorniejsze wrażenie. Wypił swoją kawę i ponownie sięgnął po fajkę. Po dzisiejszym wieczorze zapowiadał się co najmniej tydzień tytoniowej abstynencji.

– Masz ten tekst, prawda? – zagaił znowu redaktor. – Chlusnąłeś Mietkowi herbatą w gębę i powiedziałeś, że nie będziesz już dla nas pisać, mówiłeś, nie, przepraszam, darłeś się,

że zniszczyłeś swoje notatki i nikt ich nigdy nie zobaczy, ale ja w to nie wierzę. Na pewno je masz. Jeździłeś później w różne miejsca, przecież wiem, tutaj takie rzeczy się wie. Zglądałem, nie było cię. Rozpytywałem... zresztą nieważne. Dokończyłeś tę sprawę, a teraz nie chcesz... Słyszałeś, że Bałakiriew interesuje się dworkiem Chopina w Żelazowej Woli?

– Co mnie obchodzi jakiś Rusek?

– Ten Rusek jest wielkim pianistą i ma słuszość, że dom Chopina nie może dalej stać w takiej ruinie. To ponoć skończona rudera, w której kury srają.

– Oj, nie przesadzałbym.

– Byłeś tam?

Krzysztof nie odpowiedział od razu. W pokoju niemal pozbawionym mebli unosił się zapach kawy i tytoniu.

– Może i byłem – odparł po chwili.

– Wiedziałem, że ten temat dalej cię interesuje! Czyli...

– Czyli byłem sobie na wycieczce krajoznawczej i przy okazji, proszę cię, wypadła mi po drodze Żelazowa Wola, tak się jakoś złożyło. To jeszcze nie znaczy, że mam obsesję.

– A z tymi kurami co? Faktycznie srają?

– Kur nie widziałem. Jakieś jabłka się suszyły.

– Otóż właśnie, jabłka. Bałakiriew wyciągnie ten temat, jabłka, kury, gołębie i inne dary natury oraz żywy inwentarz, a potem zrobi się głośno, że Polacy to właśnie takie świny są. O pamięć po swoim geniuszu nie dbają. Inni już od dawna miauczą w prasie, żeby im przysyłać pamiątki

po Chopinie, bo chcą niby pisać monografię. A ty co? A ty masz...

– Nic nie mam! – warknął Krzysztof.

– Dobrze więc. A tymczasem ty nie masz, wcale nie masz, podkreślam, spowiedzi jego czterech kobiet, które zapewne opowiedziały ci o nim tak, jak nie opowie nigdy nikt. I co? I z tym, czego nie masz, nie zamierzasz nic zrobić, pozwolisz, żeby zaczęły się mnożyć mity i bzdury. Już bratanek Wodzińskiej napisał *Trzy romanse Fryderyka Chopina*, gdzie ważny jest tak naprawdę tylko jeden – z jego ciotką – a reszta może nie istnieć, jak gdyby w życiu Chopina nie miało żadnego znaczenia spotkanie z George Sand czy z naszą Grabowską...

– Gładkowską.

– Wiesz, że ona miała męża i od pięćdziesięciu siedmiu lat nazywa się Grabowska, prawda?

– Ale zawsze była bardziej Gładkowską.

– Była?

Tym razem to Krzysztof podszedł do okna i odwrócił się do redaktora plecami. Wszystko stało się jasne. Wiadomo, kogo Krzysztof odwiedzał na cmentarzu w Babsku i dlaczego wydawał się teraz bardziej przygnębiony niż zazwyczaj. Redaktor, człowiek, któremu różne rzeczy mówiono wprost, a jeszcze więcej kazano czytać między wierszami, podniósł się z krzesła umarlaka Zarzecznego, podszedł do dawnego przyjaciela i poklepał go lekko po ramieniu. Brakowało mu w „Kurierze” tego szorstkiego i pyskatego

chłopaka, który miał lepsze serce niż niejeden z tych, co się umieli pięknie wypowiadać i wzorcowo wdzięczyć. Teraz z sensownych ludzi został mu już chyba tylko Prus.

– Wiem, że się z nią zaprzyjaźniłeś i że ona przypominała ci...

Krzysztof roześmiał się nagle i odskoczył od redaktora jak oparzony.

– Wódkę mam. Wódki się napijesz?

– Nie wiem, czy to...

– Daj spokój, znają mnie tutaj. Jak ode mnie wyjdiesz, to ci na Zakroczymskiej mordy w nocy nie obiją.

Redaktor skwapliwie przyjął solidną ilość wódki. Krzysztof znowu chwilę milczał – co było u niego normalne i wymagało jedynie przeczekań – po czym zaczął chodzić nerwowo po pomieszczeniu.

– Przypominała mi? Że mi ją przypominała? To chciałeś powiedzieć? Ona nie mogła mi jej przypominać, bo była starszą panią z siwymi włosami i w białym czepeczku, która z trudem podnosiła się z fotela. A Julia nie... ona nigdy... ale miały coś wspólnego. Nie tylko kalectwo. Obie kochały muzykę Chopina w podobny sposób. I podobnie ją grały. Jak gdyby rzeźbiły w klawiaturze. Ty tego nie możesz zrozumieć...

– Skąd ta pewność?

– Może i możesz, ale bardzo wątpię.

– A ty to niby taki koneser jesteś nagle?

– W porządku, możesz to zrozumieć, nieważne! Zarówno Gładkowska, jak i Julia siadały do fortepianu, kładły ręce

na klawiszach i polegały tylko na swojej pamięci. To był zawsze dialog z instrumentem i dialog z Chopinem – jak gdyby go prosiły o wskazówki, o prowadzenie. Ufały mu. Tyle że Julia ufała mu tylko jako muzykowi, a Gładkowska musiała mu ufać także jako człowiekowi. Choć przecież ostatecznie zawiódł jej zaufanie.

- Myślałem, że to ona zawiódła jego.
- On pewnie też tak myślał.
- Chopin? Naprawdę?

Krzysztof skinął głową i dolał redaktorowi wódki. Myślał teraz o swojej pierwszej wizycie u Konstancji Gładkowskiej, dawnej miłości Chopina, którą odwiedził kilka lat temu w Skierniewicach. Później były jeszcze inne wizyty, ale ta pierwsza szczególnie utkwiła mu w pamięci. Zbierał już wtedy materiał do swojej wielkiej pracy, którą tak ochoczo chciał teraz drukować redaktor. Z nimi wszystkimi w ogóle spotkał się po to, by zebrać materiał. Z tymi kobietami. Był dobrym pismakiem, skutecznym, umiał rozmawiać z ludźmi i przekonywać ich do opowiadania sobie różnych historii. Te kobiety też przekonał, choć teraz wydawało mu się, że one pragnęły, by się zjawiał, że mogły czekać właśnie na kogoś takiego jak on. Kogoś, kto nie będzie się spodziewał, że one mu tę historię opowiedzą w taki sposób, by się wpisać w jego oczekiwania. Nie miał żadnych oczekiwań, kiedy do nich szedł. Żadnych, kiedy do każdej z nich pisał lub telegrafował, kiedy je sobie wyobrażał, kiedy się próbował do tych rozmów przygotować. Nie wiedział,

co chce osiągnąć, nie myślał za wiele o przyszłości. Był sam na świecie. Jednego dnia miał wszystko, drugiego zostawał z niczym. Nie on pierwszy, nie ostatni – tak mu powiedział redaktor. To miało być pocieszenie, jak sądził. Krzysztof wpisał się po prostu w rytm przyrody, cykl życia i śmierci. A raczej nie on się wpisał, tylko jego Julia. On był tym, który został, płakał i miał pamiętać. Może dlatego te kobiety tak dobrze go przyjęły, może w nim to jakoś wyczuły. Musiały także coś podobnego przeżyć. Zostawały same na różnych etapach życia, opuszczane przez różnych ludzi, ale każda z nich, całkiem osobno i nie wiedząc, co na ten temat powiedzą pozostałe, przyznała, że to jedno opuszczenie – moment po odejściu konkretnej osoby – było szczególne.

Wciąż pamiętał swoją wędrówkę między Calder House w Szkocji i Londynem, Paryżem i Nohant, Rysinami i Florencją, Skierniewicami i Raduczem. Wciąż pamiętał włóczenie się po Warszawie śladami Chopina, czego nigdy wcześniej nie robił. Inaczej wyglądało to miasto, kiedy się na nie patrzyło cudzymi oczami. Patrzenie oczami Chopina było wyjątkowe. Krzysztof czuł, że ten człowiek rzeczywiście musiał mieć w sobie coś szczególnego. Wystarczyło zacząć o nim rozmawiać, wystarczyło spróbować poznać jego muzykę. Krzysztofowi słoń na ucho nadepnął, ale Julia nauczyła go słuchać, tak jak on uczył ją widzieć. Grywała mu w ciemności, sprawnie odnajdując kolejne klawisze. Najbardziej lubiła balladę czwartą, f-moll. Nie miała dobrego instrumentu – nie miała fortepianu Pleyela. Siadała

w ich małym saloniku przy starym pianinie, które matka łaskawie pozwoliła jej zabrać z domu.

„Słyszysz? – pytała Julka. – To spokojna opowieść, ale wyraźnie widać w niej, że i spokój bywa pozorny, że zawsze gdzieś tam czai się drugie dno, coś mrocznego, niepewnego, coś, co stanowi przedmiot sporu. I to coś rośnie, rośnie, aż wreszcie masz wrażenie, że opowieść nie może się skończyć w jeden sposób, że nigdy nie ma jednego wyjścia, że zawsze istnieją co najmniej dwa”. To było właśnie o tej balladzie, czwartej, f-moll.

Podobną rzecz powiedziała mu Konstancja Gładkowska. Nie wiedział, czy rzeczywiście przypominała mu Julię, czy też raczej dostrzegął w niej kogoś, kim Julia mogłaby się stać za kilkadziesiąt lat. Różniło je tylko to, że Konstancja kiedyś widziała kolory, a Julia nie widziała ich nigdy. Dlatego ze wszystkich kobiet Chopina jedynie Konstancję Krzysztof odwiedził więcej niż raz. Miał wrażenie, że z upływem lat coraz bardziej rośnie w niej świadomość poniesionej straty. Ale nie tylko to. Myślała też o swoich wyborach. O tym, że czasem o całym życiu człowieka decyduje to, że pewnego dnia skręcił w lewo, a nie w prawo.

Starsza kobieta w białym koronkowym czepeczku zamieniła się przy fortepianie w kogoś zupełnie innego. Krzysztof niemal ją widział: młodą, smukłą, piękną. Niemal patrzył na nią, jak biegnie Krakowskim Przedmieściem, lekko unosząc suknię, by nie pobrudzić dolnej falbany. Niemal słyszał, jak ćwiczy gamy w Konserwatorium pod okiem Solivy,

i niemal czuł jej rozczarowanie, jej nagłe zagubienie, kiedy wielka diwa, panna Sontag, mówiła, że nie tak, nie tak, nie tak! Nie tak należy śpiewać, mademoiselle Constance, głos dobry, talent duży, ale technika zła, za trzy lata góra tego głosu już nie będzie. Krzysztof niemal tam był. A ona – starsza Konstancja – grała *Balladę f-moll* i nagle przestała, łupnęła dłonią w klawisze z siłą niezwykłą u osoby w jej wieku.

„Ja tego nie umiem zagrać tak, jak on by chciał! A wiem, jak by chciał. Tu są dwa zakończenia, historia niby wybrzmiewa w całości, po czym coś jeszcze następuje. On mówi, że to jest zawsze możliwe – choćby człowiek myślał, że doszedł do finału i po nim nic już nie ma, trzeba próbować zrobić o krok więcej. Bo a nuż posypie się kaskada kolejnych dźwięków i zacznie nowa opowieść”.

Później siedzieli przez jakiś czas w ciszy. I oboje czuli, że Chopin jednak się mylił. Czasem koniec po prostu jest końcem.



## *Konstancja*



Wiem, że mój widok pana zaskakuje. Wszedł pan tu pewnym krokiem, przedstawił się w progu, przystanął na moment, a później zbliżał się do mnie już wolniej i ostrożniej, jak gdybym mogła się spłoszyć i uciec. Przepraszam za kaszel. Nie jestem chora, w moim wieku czasem po prostu się kaszle, zwłaszcza jeśli człowiek jest na tyle lekkomyślny, by spontanicznie się śmiać. Wszystko trzeba planować z wyprzedzeniem, nawet nagłą wesołość. Kiedy usłyszał pan kaszel, znowu się pan zatrzymał. Był już pan najwyżej dwa metry ode mnie. Widział pan fotel, podnózek, fragment poduszki, o którą się opieram. Widział moje kościste palce zaplecione wokół filiżanki z niedopitą czekoladą. I pewnie pachniała panu ta czekolada, może nadal pachnie. Przebiła się nawet przez zapach leków i starości. Pan jest jeszcze młody i nie powinien takiego zapachu czuć. Zaraz pan dostanie swoją filiżankę czekolady. Pan niezbyt lubi? To zupełnie jak ja, ale czasem już tak jest, że szukamy czegoś, co przywołuje wspomnienia, i dla mnie tym czymś jest właśnie czekolada. Smak. Szukał pan kiedyś

kogoś poprzez smak? Ja wolę gorzkie, słone, kwaśne, lecz wspomnienie o nim jest zawsze zamknięte w słodczy, w czekoladzie. Wiadomo dlaczego. W muzyce też, jednak muzyka była czymś nadrzędnym w naszym życiu, czymś świętym, a czekolada – czymś całkiem zwykłym, od czego poprawiał się humor i psuły zęby.

Słyszę pana z prawej strony, wiem, że nastąpił pan na rozchybotaną deskę cztery kroki od okna, upuścił coś, po czym zebrał to coś z podłogi, szurnął fotelem, przysuwając go bliżej mnie, i wreszcie usiadł. Wybrał pan ten lekko zapadnięty i teraz usiłuje przybrać wygodną pozycję. Poduszkę z kanapy niech pan sobie weźmie. I podłoży pod... wie pan pod co.

O! A teraz, przed minutą, było na przykład tak.

Cztery kroki do kanapy i cztery od kanapy do fotela, klepanie poduszki, szuranie. Kiedy siadał pan po raz drugi, coś panu chrupnęło w kolanie. W tej chwili wydaje się pan bardziej zadowolony, nie wierci się i nie wzdycha. Jestem pewna, że póki nie zaczniemy naprawdę rozmawiać, będzie pan lekko hałasować, by wyraźniej zaznaczyć swoją obecność. Robi pan to dla mnie. Tak się panu wydaje, że tego potrzebuję. Ubiera się pan w dźwięki, by mieć kształt, chce mi się pan jakoś pokazać. Ludzie lubią się jakoś pokazywać, muszą się pokazywać, bez pokazywania się nie istnieją. Nie istnieją w ciszy i ciemności. Nie widać, nie słychać, nie ma. Czy nie tak myślimy? Dopiero kiedy coś zostaje nam zabrane – jeden zmysł na przykład – zaczynamy rozumieć,

że w tym istnieniu chodzi o więcej niż pokazywanie się komuś jakoś.

I co? Całkiem nieźle? Przyzwyczaiałam się i nauczyłam wielu rzeczy przez te trzydzieści kilka lat.

Trochę już panu współczuję i naprawdę chcę, by poczuł się pan swobodniej. Wiem to, co najważniejsze, wiem, po co pan tu przyszedł. Pan też widzi, że mimowolnie obracam głowę w stronę kredensu, gdzie w szufladzie pod kluczem trzymam rzeczy, które na pewno chciałby pan zobaczyć. Wystarczy sześć kroków, moich oczywiście. Pana – może trzy. Cztery? Prawda, zapomniałam o chrupiącym kolanie. Niech będzie. Pan w ogóle składa się z czwórek. Cztery kroki, cztery ruchy, cztery chrząknięcia. Łatwo da się przewidzieć ten rytm. Jest pan trochę jak walc.

Oto i czekolada. Dziękuję, Julio. To moja szwagierka.

Pan lubi to imię? Takie nosiła pana żona? Nosiła, ale już nie nosi? Rozumiem.

Przepraszamy za bałagan, dopiero się tutaj instalujemy. Mój mąż zmarł, tak, dziękuję. Jeszcze do niedawna przyjmowałabym pana u nas w Raduczu, ale Skierniewice to przyjemne miasto, nie uważa pan? Rodzina chciała mnie gdzieś po śmierci męża ulokować, wie pan, wetknąć do jakiegoś swojego dworu, usadzić na fotelu, obłożyć poduszkami, donosić mi herbatę i ciasteczka, czytać mi książki, słowem – cackać się ze mną. A przecież nie jestem chora. To nie choroba, to jedynie jej skutki, ale teraz już tyle czasu minęło i... No, dość powiedzieć, że nie zgodziłam się

i przyjechałam tutaj. Będziemy sobie żyć we dwie, stare siwe wdowy, będziemy sobie we dwie siedzieć przy komin-ku i odmawiać zdrowaśki albo i nie, to się zobaczy. Czy to nie jest najprzyjemniejsza starość, jak pan myśli? Człowiek ma spokój, ciszę, ma swoją ciemność, może myśleć, o czym chce, robić, co chce. Nie musi już projektować przyszłości, zastanawiać się nad jutrem, nad tym, co się zaplanuje na obiad albo że trzeba suknię córki dać do re-peracji i obstalować nowe trzewiki dla syna. Nic nie trzeba. Można wszystko. Wolno mi teraz wrócić tam, gdzie byłam, a gdzie przez lata nie chciałam wracać. Siedząc na tym fotelu, proszę pana, mogę być w dowolnym miejscu i w do-wolnym punkcie przeszłości, wynalazłam wehikuł czasu, najpewniejszy, bo składający się ze wspomnień. Nie zmienię rzeczy, które już się wydarzyły, ale lubię na nie patrzeć, lubię je od nowa przeżywać. Teraz nie muszę się spieszyć, mogę wszystko robić powoli, po kilkakroć, ile chcę i kiedy chcę. Jestem u siebie, jestem wszędzie, jestem dziewczyną w białej sukni i z różami we włosach.

Najgorzej to siedzieć komuś na głowie, nawet własnym dzieciom. Nie chciałam tak. Bo przecież sobie radzę, prawda? Zawsze sobie radziłam.

Jak się panu podoba dom? Sądzę, że jest dość ładny, ale nie mogę tego wiedzieć na pewno. Parterowy w każdym razie. Nie ma schodów, więc nie ma też ryzyka, że się potknę i stracę na nich zęby, które się dotąd uchowały, a przecież jak wiemy, nie wszystko się uchowało.

Pan chce rozmawiać o nim. A ja? Ja się czasem zastanawiam, dlaczego trzymam tę nić – nić życia – już tak długo. Bo przecież czułam i żyłam. To za mną. Byłam czuta i byłam żyta, jak by powiedział Frycek. Dawno temu śmiałam się, że tak się przecież nie mówi, że nie ma takich słów, ale on odpierał, że może ich, owszem, nie było, ale już są, bo je właśnie wymyślił. A jeśli się coś wymyśli, to to coś jest. Nie było słów i są. Nie było muzyki i jest. Nie było miłości i...

Tak słyszałam, właśnie tak, od kilku osób. Nie chcieli być dla mnie niemili, a może chcieli, teraz już nie wiem. Że on sobie tę miłość wymyślił, bo takie były czasy. Trzeba było kogoś kochać i do kogoś wzdychać, dla kogoś tworzyć. Wymyślił sobie miłość do mnie. O, takie słowa usłyszałam.

Powiedziałam to wreszcie na głos. Gorąco mi i wstyd, bo przecież pan mnie nie zna, a ja nie znam pana, ale ostatecznie to przecież nieważne, od czego zaczniemy tę rozmowę. Prędzej czy później i tak – nie zważając na salonowe decorum, bo i ja nie jestem wielką damą – zaczniemy mówić o miłości. Frycek powiedziałby: „Daj buzi i zgoda”. Przed rozmową, po rozmowie, w trakcie, kiedy się w czymś nie zgodziliśmy, kiedy ja miałam obiekcje, wątpliwości, kiedy mnie coś uwierało. Frycek by się nie zgodził z tymi ludźmi, którzy mu wmawiali wymyśloną miłość. Klóciłby się z nimi w swoim stylu spokojnym i chłodnym, bardzo denerwującym, bo jak się człowiek zapalał, a on reagował tak chłodno, to się go chciało udusić. Miłości, w każdym razie, sobie nie wymyślił. Wymyślał tylko słowa i muzykę,

a cała reszta była prawdą. Karcił się nią – tą prawdą – i nie był zdolny do oszustwa. Dlatego właśnie takie, a nie inne są jego dzieła. To nie arytmetyka, lecz wspomnienia, opowieści i echo przeżytych emocji. Wiem, że przyznałby mi rację, wiem, bo nieraz słyszałam, jak mówił, że coś stanęło na pamiętkę, że coś jest wspomnianiem przy księżycu. Coś Fryc opowiedział fortepianowi, a później niechybnie fortepian musiał opowiedzieć nam. I słuchaliśmy. Zabieraliśmy te opowieści ze sobą, żyliśmy z nimi, żyliśmy z nim. Już się nie dało inaczej. Fryc nie był z kamienia, ale z żywych tkanek, nie był pomnikiem, był człowiekiem o ciepłej skórze i oczach, które czasem zachodziły łzami. Pił za dużo kawy i za dużo czekolady, za mało jadł i za często nie sypiał po nocach. Lubił się bawić, tańczyć i przesiadywać w szlafroku do południa, pisząc listy do przyjaciół. Patrzył mi w oczy, a później się chwiał, jak gdyby mu się zakręciło w głowie.

Słuchałam po latach, co mówili o nim ludzie, słuchałam, jak go przerabiali na kamień i złoto, jak odbierali mu oddech i krew, jak wygładzali na nim wszystkie kanty i czynili z niego ideał. Słuchałam, że mu stawiają gdzieś tam pomniki i że go teraz odkrywają młodzi, że go grają na koncertach i niedawno nawet koncert taki słyszałam. Julcia mnie wzięła kilka dni temu. Nie musiała mówić, że fortepianista rzucił się przy klawiszach, że dłoń mu się w szpon osobliwy układała, że miny stroił bolesciwe, że nerwy swoje własne prznosił na palce i na muzykę. A przecież to nie tak

trzeba. To nerwy Frycka trzeba odnaleźć i wygrać, to jego ból umieć odczytać, a nie swój własny.

Wciąż go słyszę. Przez całe lata można słyszeć melodię, którą ktoś nam grał dawno temu, tak jak nikt już dziś zagrać nie umie. Pamiętam *Walca Des-dur*, uderzanego śmiało i o rozkołysanym rytmie, który to rytm teraz każdy mu próbuje odebrać. Czy pan się ze mną zgodzi? Czy pan też ma wrażenie, że obecnie tak się to próbuje wykonać, jak gdyby wcale nie walca grano, ale co innego? Nikt nie ma odwagi nut przytrzymać. Za bardzo to Straussem pachnie, co? Walc taki taneczny, taki przyjemny dla ucha, taki niegodny Frycka. Fryc tylko się droczył, że walca napisał, bo u niego walc to nie walc. Co zrobić? Jak tłumaczyć, że on był wtedy szczęśliwy, że właśnie walc mu w duszy grał? Nie pisał tego Fryc cierpiący i chory, lecz Fryc, który żartował i pił wino w Dziurce, Kopciuszkę i Honoratce, wracał nad ranem do domu i wstawał z bólem głowy, kiedy słońce było już wysoko na niebie, a później fortepianowi gadał różne rzeczy, różne swoje „nudy”, tylko kawę wcześniej wypiwszy... Tak właśnie robił. Dlaczego więc w walcu tym wygrywać teraz ból i nerwy, dlaczego nie radosne tony? Tak radosne, że aż się żyć chce?

Pan wciąż we wiadomym kierunku patrzy?

Owszem, proszę pana, są tam. Schludnie złożone, w kopertach, przewiązane wstążką. Taką samą wstążką jemu dałam, kiedy wyjeżdżał. I mówią, że on ją ponoć zachował, że do końca życia trzymał. Ale o tej wstążce mniej się

opowiada niż o listach od innej. Z tamtą miał się żenić. Może i obie nas zaklął w przedmiotach i słowach. Może tylko tak nas mógł zatrzymać. Albo chciał. Może tylko tak chciał?

Owszem, są tam. Ja też mam swoje przedmioty. Listy, które zachowałam do końca życia, jego podobiznę na kości słoniowej, pierścionek, wycinki z gazet.

Nie widzę ich, ale jednocześnie widzę. Tam w środku, we mnie, gdzie pozostały na zawsze niezmienione, gdzie nie zżółkły i nie zmiękły, gdzie nie rozmazał się atrament i każda litera wciąż jest wyraźna tak jak wtedy, gdy ją zobaczyłam po raz pierwszy. Gdy jeszcze w ogóle mogłam nie tylko słyszeć, lecz także widzieć słowa. A widzieć słowa Frycka to było zawsze szczególne przeżycie. Bo kiedy człowiek widział słowa Frycka, zawsze widział jednocześnie jego samego, wsłuchiwał się w brzmienie głosu, tempo mówienia i intonację, wiedział, które frazy Fryc wypowie głośniej, które z goryczą, a które ze śmiechem. Bo Frycek pisał tak, jak mówił, tak jak się wtedy między sobą rozmawiało, kiedy się miało dwadzieścia lat i mieszkało w Warszawie. To było osobliwe miejsce. Beczka prochu, rozedrgana i na skraju wytrzymałości. Wiedzieliśmy, że w powietrze lada chwila wzbije się słup iskier i już nie będzie powrotu. Po Miodowej odzywało się echo kawiarnianych pokrzykiwań, na ścianie Belwederu ktoś wysmarował hasło, że lokal będzie do wynajęcia od Nowego Roku, po kątach szeptano, młodym chłopcom szaleńczo błyszczały oczy i każdy, każdy tak zachłannie rzucał się na życie.



Może z dekadę temu podczas wizyty u warszawskiego lekarza słyszałam, jak jedna dama skarżyła się drugiej, że jej córka wywołała skandal, spacerując sama po Ogrodzie Saskim przez dobrą godzinę albo i dłużej. Sama! A przecież porządnej pannie samej nie wypada. Przypomniałam sobie wtedy nasze przechadzki, kiedy z Anią Wołków wymykałyśmy się z bursy Konserwatorium i gnałyśmy do Ogrodu Saskiego, by tam się zagubić w alejkach i niby przypadkiem kogoś spotkać. Albo w ogrodzie botanicznym za Pałacem Kazimierzowskim wśród zapachów dojrzałej wiosny, kwiatowych rabat i gęstej zieleni pochwycić niby przypadkiem czyjaś dłoń. To było dawno temu. Nie znałyśmy emancypantek walczących o prawo do głosowania dla kobiet i o ich udział w życiu politycznym, nie próbowałyśmy spełnić marzeń o studiowaniu, a mimo to mniej nas pilnowano i więcej miałyśmy chwil dla siebie, by się ukryć przed światem, uciec, pożyć sam na sam z kimś, z kim sam na sam być się nie powinno. Nie urodziłam się zresztą księżniczką, a mój ojciec nie miał pałacu. Znanych Frycowi Radziwiłłowien czy innej „Moriolki” pewnie bardziej pilnowano. My jednak – ja i Ania Wołków – czułyśmy się wolne. Dwie rzeczy się dla nas wtedy liczyły – śpiew i marzenia o wielkiej scenie. Byłyśmy artystkami – jak Frycek. Nie tak genialnymi, ale na pewno artystkami. Chyba ja też stałam się wtedy emancypantką, choć nie pamiętam, czy znałam takie słowo. Chciałam spełniać marzenia i czuć

satysfakcję. Chciałam, by ludzie usłyszeli moje nazwisko, chciałam, owszem, osiągnąć sukces, być kimś.

I on też to wiedział, on we mnie widział artystkę. Słyszał mój głos, tam, w Wiedniu i Stuttgarcie, w czasach, gdy krok za krokiem oddalał się od Polski – i ode mnie – zmierzając w stronę przeciwną, do Paryża, do miejsca, o którym marzył od dawna i o którym razem snuliśmy niegdyś śmiałe fantazje. Słyszał mój głos i wiedział, co zamierzam. Jechał jednak dalej w kierunku przeciwnym – przeciwnym do mnie – a ja nic nie powiedziałam. Nie zatrzymałam go i nie poprosiłam, by zawrócił. Wiedziałam, że nie zawróci, i bałam się takiej odpowiedzi, rozsypania iluzji, nagłej świadomości, że od początku żyłam tylko złudzeniem. Brzmi żałośnie? Teraz zawsze mogę powiedzieć, że nie wrócił, bo przecież go nie poprosiłam.

Dobrze się czuję, tak.

Byłam przez chwilę jakby nieobecna?

Owszem. Porzuciłam pana i zostałam sama ze sobą. Ludziom takim jak ja czasem się to zdarza. Mnie ostatnio coraz częściej i w ten właśnie sposób porzucam czasem wszystkich. Przeszłość co chwilę mnie do siebie wzywa i poddaję się jej ochoczo, bo oferuje więcej niż terażniejszość. W przeszłości byłam młoda i piękna, śpiewałam, nosiłam atlasowe pantofelki, zbyt luźno sznurowałam gorset i niecierpliwym gestem odgarniałam loki z czoła. Biegałam i głośno się śmiałam, przerabiałam po nocach suknie, by ich krój odpowiadał najnowszej modzie. Widziałam. Wodziłam

za nim wzrokiem, a kiedy to wreszcie poczuł, szybko spoglądałam gdzie indziej, udając, że jego widok wcale mnie nie zajmował. Innym razem to jego spojrzenie czułam na sobie. Wyczekiwałam momentu i odwracałam głowę tak, by nasze oczy się nagle spotkały. On nie umiał udawać, że patrzy gdzie indziej i że mój widok jest mu obojętny. Błądł, czerwieniał, lecz oczu nie odwracał. W ogóle niczego nie umiał udawać, chyba że naprawdę, ale to naprawdę nie miał wyjścia. Dlatego też taki bywał zły, kiedy rozmawiałam z jakimś rosyjskim urzędnikiem, który odwiedził akurat mnie i Anię w Konserwatorium, aby niby to pośpiewać razem duety i porozmawiać o muzyce. Widziałam tę złość. Widziałam zazdrość, niepewność i kompleksy. Czuł się gorszy od Moskali, bo był chudszy i niższy, bo był młodszy i nie miał wąsów, a jedynie gładką, piękną buzię z nieco za dużym nosem. Głupi! Jak późno to wszystko zrozumiał. Ale zrozumiał, wie pan? Pisał o tym w swoim dzienniku, jak mi mówiono. Że jeśli do niego przyjdę, otrze moje łzy i przypomni mi przeszłość, kiedy Moskali nie było, kiedy tylko kilku Moskali chciało mi się przypodobać, a ja z nich drwiłam, bo on tam był, on był, a nie... a nie... mój mąż.

Wiem, muszę do pana wrócić z tej swojej przeszłości. Muszę wrócić do rurkowego czepeczka i ciemnych okularów, do słabego i starego ciała, patykowatych palców i ciemności. Już. Już tu znowu jestem.

Pokażę je panu. Pan ich teraz nie będzie czytał, bo przecież rozmawiamy, ale chociaż pan zobaczy. Zaraz, chwileczkę.

Dobrze, oto one. Przepraszam, że ostentacyjnie odrzuciłam pana pomoc, i wiem, że się potknęłam, ale to nowy dom, jeszcze nie zdążyłam go poznać na swój sposób.

Muszę je chwilę potrzymać. Koperty, pudełko z pierścionkiem i mała podobizna na kości słoniowej. „Jeśli podobizna ta mogłaby sprawić radość...”. Tak pisał z Wiednia do swojego przyjaciela Jana Matuszyńskiego. O mnie pisał, o mojej radości. Jan miał minę niewyraźną, kiedy mi ten list przekazywał. Za każdym razem, choć jednocześnie był uprzejmy, zawsze bardzo grzeczny, nigdy mi złego słowa nie powiedział, choć nie wiem, co myślał. Sądzę, że raczej nie chciał być między nami pośrednikiem i uważał, że niczym to nie jest poza tym, że przedłużaniem tylko cierpienia. Jednak robił to przecież i dlatego ta szuflada. Nie tylko on zresztą... lecz o tym panu później opowiem, po kolei.

To właśnie ta miniatura, proszę spojrzeć. Tutaj Fryc jest wciąż młody. Nie pluje krwią i nie umiera w cierpieniach, które ja mogłam sobie tylko wyobrazić.

I ona też, prawda? Nie przyszła do niego. Pan już u niej był?

Chyba nieco męcząca jest ta wizyta. Poproszę Julcię, by przyniosła podwieczorek. Mamy dobre bułeczki i znakomite konfitury z malin. W taką pogodę w sam raz.

I zagram coś panu. Może *Balladę f-moll*. On napisał ją już po mnie... chciałam powiedzieć po tym rozdziale swojego życia, w którym akurat i ja się znalazłam. Dostałam później od kogoś nuty. Jeszcze później grałam i gram nadal z pamięci. Taki utwór trudno grać w ten sposób, dlatego

u mnie to zawsze raczej jakiś fragment. Chyba że mam akurat lepszy dzień. Zobaczymy, czy dziś mam i jak fortepian tutaj zabrzmiał, w nowym domu.

Słyszysz pan tam dwa zakończenia? Jedno jest raczej pozorne, a drugie...



Pan jest z Warszawy, zna Warszawę, sporo w niej przeżył. Żona. Ojciec i brat. Fortepian... jego fortepian! I pan to widział? Ja widzieć nie mogłam, mnie tylko mówiono. Kto by pomyślał, że za mojego życia tyle będzie wojen, powstań, spisków, tyle zmian na gorsze. Czy pan nie ma wrażenia, że nigdy nie uczymy się na błędach i zawsze mamy nadzieję na wygraną, choć przecież znamy już smak porażki i wiemy, jakie są jej konsekwencje?

Rozumiem, wtedy się inaczej myśli, kiedy się nie patrzy wstecz, a uczestniczy na bieżąco. Kiedy to się dzieje i trzeba decydować – dołączyć albo nie. I wie pan, teraz można uznać, że dla nas wszystkich istniał w gruncie rzeczy jedyny słuszny wybór, który historia mogła ocenić pozytywnie, ale tak naprawdę wcale nie. Oczywiście chciało się wolności. My jej nie mogliśmy pamiętać, jednak sporo o niej słuchaliśmy od starszych. Rosło w nas poczucie wspólnej tożsamości, konieczność kultywowania naszych tradycji, szacunek dla języka i kultury. Coś się działo, rozwijało w naszych umysłach i sercach. Jak to teraz górnołotnie

i śmiesznie brzmi po tylu porażkach i rozczarowaniach. Nie wiem, jak panu tę rzecz wyjaśnić. Im mocniej się czuliśmy Polakami, tym bardziej chcieliśmy działać. Coś robić, cokolwiek. I jeśli mnie pan teraz zapyta, odpowiem, że to coś poszło nieco w złą stronę. Może za mało jednak wiedzieliśmy, może bardziej czuliśmy, niż myśleliśmy, a kiedy się bardziej czuje, niż myśli, to się nie ma cierpliwości, chce się wszystkiego już, natychmiast. Jeśli mnie pan teraz zapyta, powiem, że chyba lepiej było wtedy się uczyć, tworzyć, inaczej tę siłę budować. On dobrze zrobił, że wyjechał i nie wrócił. Bardzo dobrze zrobił. Jeśli mnie pan teraz zapyta, tak właśnie odpowiem.

Oczywiście żyliśmy w tamtym czasie wspólnie i z obcymi, uczyliśmy się od nich i niewielu się na to skarżyło. Pan uważa? Nie mówię, że nikt się nie skarżył, ale jednak niewielu. Mnie uczył Włoch Soliva, Frycka – Niemiec Elsner. Konflikty się rysowały dopiero bliżej wojny, zwłaszcza między Solivą a Karolem Kurpińskim, dyrektorem muzycznym Narodowego. Później panu o tym opowiem. Muszę opowiedzieć, bo ja i moja koleżanka Ania Wołków byłyśmy w ten konflikt naturalnie wpisane jako uczennice Włocha. Skomplikowane jest to wszystko, proszę słuchać. Z upływem lat człowiek uczy się porządkować. Wyrzuca z pamięci to, co nieważne, i zostawia tylko rzeczy, które miały dla niego znaczenie. A może to się dzieje samo i bez naszego udziału?



Nie będę pana szczegółowo zanudzać moim dzieciństwem i wczesną edukacją. Wspomnę o tym, co mi się wydaje istotne, bo przecież pan chce wiedzieć, kim jestem i jaka jestem, a o takich sprawach w dużej mierze decyduje nasze pochodzenie, rodzina i wcześniej zawarte znajomości.

Moja matka Salomea pochodziła od Olendrów, nosiła nazwisko Wilkin i choć nigdy mi o tym nie opowiadała z detalami, ze strzępów jej słów wywnioskowałam, że przybyła do Warszawy z Wielkopolski. Wraz z innymi dziewczętami z rodziny szukała pracy lub męża, trudno powiedzieć. Wśród Olendrów raczej nie znano społecznej hierarchii, wszyscy byli sobie równi i imali się różnych zajęć, bez patrzenia na to, czy są ich godni, czy nie. Moja matka miała swoje ambicje, lecz nie wstydziła się krewnej, która podjęła się służby w pałacu Sapiehow. Krewna służąca być może nie była dla niej powodem do chluby, ale co Sapiehowie to Sapiehowie, prawda? Zawsze można trafić gorzej. Moja matka także mogła, a jednak poznała mojego ojca i musiała wyrzucić na nim takie wrażenie, że zdecydował się ją poślubić.

Mój ojciec Andrzej wywodził się ze zubożałej szlachty i podjął się zajęcia, które często wybierali młodzi mężczyźni o podobnym do niego statusie. Został murgrabią. Musi pan wiedzieć, że był dobry na tym urzędzie i godny zaufania, co zostało szybko zauważone w wyższych kręgach i co

mu pomogło w dalszej karierze. Nie będę pana zasypywać nazwiskami i stanowiskami osób, dla których pracował mój ojciec, a jedynie wspomnę, że na zarządcę kamienicy przy Zakroczymskiej przyjął go pan Szaniecki, bo nie miał czasu samodzielnie doglądać spraw związanych z prowadzeniem domu. To właśnie wtedy mój ojciec mógł się najbardziej wykazać jako murgrabia. Wykonywał swoje obowiązki wzorowo i mojej rodzinie zaczęło się dobrze wieść. Zajęła jedno z mieszkań w kamienicy zarządzanej przez ojca i tam też przyszłam na świat. Zakroczymska była moim domem przez kilkanaście lat, choć budynek w pewnym momencie zmienił właściciela i został kupiony przez pewnego Francuza, bardzo zaangażowanego w życie społeczne Warszawy, opiekę społeczną i działalność filantropijną. W przeciwieństwie do Szanieckiego był często na miejscu i aż tak bardzo nie potrzebował usług mojego ojca. Z korzyścią dla tego ostatniego, który – tak to trzeba nazwać – awansował i objął posadę burgrabiego pałacu Bielińskich przy Królewskiej. Właściciel pałacu Feliks Łubieński również nie mógł poświęcić domowi tyle czasu, ile by wymagała sytuacja. A mój ojciec był przecież godny zaufania i dobry w zarządzaniu, polecano go i zachwalano, więc któż sprawdziłby się tam lepiej?

Nie przeprowadziliśmy się oczywiście do pałacu, ale mieszkaliśmy nadal w mieszkaniu na Zakroczymskiej. Dzieciństwo miałam dobre, spokojne. Kojarzę je z poczuciem bezpieczeństwa, z zapachem ojca, który wracał z pracy



i mierzwił mi włosy, a później przynosił matce nowinki z wielkiego świata. Poznawał różnych ludzi dzięki swojemu zajęciu, czasem tych naprawdę wysoko postawionych, których nazwiska powtarzano z podziwem, rumieńcem, uwielbieniem, strachem, podejrzliwością, nienawiścią – elity musiały być przecież zróżnicowane, tylko w ten sposób dało się uniknąć nudy. My sami nie należeliśmy do najświetniejszych kręgów towarzyskich Warszawy, lecz powodziło nam się dobrze – to oczywiście zależało od tła, na którym chciałabym nas przedstawić. Nie pamiętam jednak, by czegoś mi wtedy brakowało. Moja matka miała ładny salonik, suknie stosowne do jej pozycji średniozamożnej mieszczerki, a sąsiedzi pozdrawiali ją i szanowali. Obracała się w zacnych, ale mieszczańskich kręgach towarzyskich i jeśli już bywała na balach, to w Resursie Kupieckiej, nie u warszawskich hrabin i książy. Hrabiny i księżne widywałam wtedy jedynie z daleka. W przeciwieństwie do małego Frycka rozpieszczanego przez całą arystokrację stolicy.

Nie od razu tę różnicę widziałam. Dopiero później zaczęłam dostrzegać, że Warszawa wykracza poza Zakroczymską, że sąsiedni pałac Sapiechów nie jest tu jedynym pałacem, że są też inne, wspaniałe, należące do wielkich tego świata. Zrozumiałam, że poza pałacami są też dwory, że ludzie prawdziwie zamożni i liczący się w społeczeństwie to ci, którzy posiadają majątki na wsi i w nich spędzają letnie miesiące. Układałam całość fragment po fragmencie, aż miałam jasny obraz mojej pozycji społecznej i perspektyw

na przyszłość. Moja matka była jednak bardzo ambitna, już wtedy gdy wydała mnie na świat, marzyła albo roiła sobie, że musi mnie jakoś naznaczyć, „uszlachetnić”. Godne szacunku i prawdziwie szlacheckie pochodzenie ojca nie wystarczało. Wybrała mi więc na matkę chrzestną Konstancję Żwanową, naturalną córkę naszego króla Stanisława.

Szybko panu wytłumaczę, jak to było możliwe, dobrze? Otóż Żwanowa była naturalną córką Magdaleny Sapieżyny i króla. Pałac Sapiechów, jak mówiłam, mieścił się przy Zakroczymskiej, a służącą była tam Anna Wilkin, krewna mojej matki. Anna pomagała Konstancji w walce o uznanie jej praw do majątku Sapiechów po tym, jak w Petersburgu zmarł nasz – wtedy już były – król. Pan na pewno rozumie, że znalazła się w niepewnej sytuacji, bała się o przyszłość, a zapewne i czuła się pokrzywdzona względem majątnego przyrodniego rodzeństwa, legalnych dzieci swojej matki. Nie będę się wdawać w szczegóły, bo to nie przedmiot tej historii. Przywołuję ją tylko dlatego, że chcę panu co nieco powiedzieć o mojej matce. Moja matka wybrała mi na chrzestną królewską córkę! Bękarcią, ale zawsze. Na nic lepszego nie mogłabym liczyć. Mój ojciec był burgrabią pałacu Bielińskich, krewna mojej matki była służącą, a w żyłach Konstancji Żwanowej płynęła krew Poniatowskiego i Sapieżyny. „Uszlachetniłam” się więc w taki oto sposób. To było coś, co mogłam podać jako swój atut. W rozgrywkach tego świata liczy się przecież urodzenie. Nie zalety jednostki, nie talent i inteligencja, ale rodzina, z jakiej jednostka wyszła,

majątek, który posiada, zaszczyty, dobra, więzy krwi. Czy to nie śmieszne? Czy to się kiedyś zmieni? Fakt, że moja matka chrzestna była córką króla, nie miał dla mnie nigdy szczególnego znaczenia, za to dla kogo innego mógł mieć. Ja się tym jednak nie zajmowałam, a jedynie tej Konstancji Żwanowej współczułam. Jej życie nie było lekkie. Kto wie? Może właśnie tym mnie naznaczyła, bo i moje, proszę pana, wcale takie nie było.

Tyle pan powinien wiedzieć, to się później okaże pomocne, by zrozumieć moją matkę. Teraz już nie mam do niej żalu – nie żyje, być może chciała dobrze, trudno powiedzieć. Ja ostatecznie nie byłam tak nieszczęśliwa jak Konstancja Żwanowa. Życie ułożyło mi się w dużej mierze nie pod wpływem moich własnych decyzji, ale w tej chwili myślę, że może mi zabrakło odwagi, by się jeszcze zastanowić, zaryzykować, poczekać. Albo nie tyle się bałam, ile nie widziałam alternatywy. Czasem tak jest, nie sądzi pan? Widzimy jakies rozwiązanie i wydaje się nam, że tylko ono jest dobre, jedynie sensowne. To straszne, prawda? Myśleć, że się nie ma wyboru. Ja tak właśnie myślałam rok po wyjeździe Frycka. Do tego jeszcze dojdziemy.

Miałam rodzeństwo. Dwie starsze siostry i młodszego brata. Klementyna wyszła dobrze za mąż za Wiktora Wojniewicza, prawnika, który ciężką pracą wyrobił sobie nazwisko i pozycję, był do mojej rodziny pozytywnie nastawiony, a dużo później, choć moja siostra już nie żyła, odwiedzał nas w Raduczu i utrzymywał z nami serdeczne

stosunki. Wspierał też moją drugą siostrę, Emilię. Musi pan wiedzieć, że Emilia z nas wszystkich najgorzej sobie poradziła z życiem i jej smutny los pośrednio wpłynął też na mnie. Obiecałam sobie, że nie będę nikogo obwiniać za swoje życiowe wybory, ale już niedługo zrozumie pan, o czym mówię. Emilia bowiem, proszę pana, źle skończyła. Myślałam o niej dużo, kiedy się decydowałam przyjąć oświadczyzny mojego męża. Bardzo dużo. Pan nie jest kobietą, pan nie wie, czego się kobieta w życiu obawia, jak niewielkie otwierają się przed nią możliwości. Pan nie wie, jak często kobiecie się wydaje, że ma naprawdę związane ręce i tylko jedna rzecz ją może uratować. Emilia się nie uratowała. Opowiem panu jeszcze o niej. Miałam też młodszego brata, Aleksandra. Szczęśliwa, wielodzietna, mieszczańska rodzina, prawda? Z początku tak. Pan jednak wie, że wszystko się może zmienić, wszystko można utracić. Wystarczy jedno zdarzenie, czyjeś zniknięcie na przykład. I świat wydaje się już całkiem inny, zaczyna na nas warczeć, pokazywać, gdzie nasze miejsce, i że to wcale nie tam, gdzie sądziliśmy.

Póki co, jestem dorastającą panienką i pupilką rodziców. Mam talent, a talent może mi otworzyć wiele drzwi. Warszawa musi docenić piękną i ładnie śpiewającą dziewczynę wykazującą już w młodym wieku nieprzeciętny talent aktorski. Nie wiem, kto to pierwszy zauważył. Może śpiewałam jakąś kolędę? Wykonywałam je czasem w wieczór wigilijny tuż po wytropieniu na niebie pierwszej gwiazdki.

Później naśladowałam pastuszków przy stajence, każdy miał inny głos, a gdy mówiłam basem, moje siostry głośno się śmiały.